

MIĘDZYNARODOWY BESTSELLER
11 MILIONÓW SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY

Tatiana de Rosnay

KLUCZ
Sary

SIOSTRZANA MIŁOŚĆ
SILNIEJSZA NIŻ WOJNA

ALBATROS

Tytuł oryginału:
ELLE S'APPELAIT SARAH/SARAH'S KEY

Copyright © Éditions Héloïse d'Ormesson – Paris 2007
All rights reserved
Published by arrangement with SAS Lester Literary Agency & Associates
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017
Polish translation copyright © Maciej Sulmicki 2007

Redakcja: Anna Kowalska
Projekt graficzny okładki: Kasia Meszka
Zdjęcia na okładce: © Jenny Boot/Arcangel (*dziewczyna*);
© Joanna Czogala/Arcangel (*wagon*)

Wydawca
Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Paryż, lipiec 1942

Dziewczynka pierwsza usłyszała głośnie walenie do drzwi. Jej pokój znajdował się najbliżej wejścia do mieszkania. Na początku, zasnana, myślała, że to ojciec wraca z ukrycia w piwnicy. Zapomniał kluczy i niecierpliwił się, że nikt nie usłyszał cichego pukania. Wtedy usłyszała głos, donośny i brutalny w głuszy nocy. Na pewno nie przypominał głosu ojca. „Policja! Otwierać! Natychmiast!” W mieszkaniu znów rozbrzmiało dobijanie się do drzwi, tym razem głośniejsze. Czuła je w całym ciele, aż do szpiku kości. Jej młodszy brat poruszył się przez sen w sąsiednim łóżku. „Policja! Otwierać! Otwierać!” Próbowwała zorientować się, która może być godzina. Spojrzała przez okno. Na dworze wciąż było ciemno.

Bała się. Pamiętała kilka cichych rozmów, podsłuchanych niedawno późno w nocy, kiedy rodzice myśleli, że już śpi. Podkraśla się wtedy do drzwi dużego pokoju i słuchała, patrząc przez niewielką szparę między deskami. Nerwowy głos ojca. Zaniepokojona twarz matki. Mówili swoim rodzimym językiem, który dziewczynka rozumiała, choć nie mówiła nim równie płynnie. Ojciec szeptał, że nadchodzą ciężkie czasy, że będą musieli być dzielni i bardzo ostrożni. Używał dziwnych, nieznanych słów: „obozy”, „aresztowania, masowe aresztowania”, „obławy o świcie”. Dziewczynka zastanawiała

się, co one wszystkie znaczą. Ojciec powiedział cicho, że zagrożeni są jedynie mężczyźni, a nie kobiety i dzieci, więc co noc będzie się ukrywał w piwnicy.

Rano wyjaśnił dziewczynce, że dla bezpieczeństwa przez jakiś czas będzie spał na dole. Dopóki się nie uspokoi. Co dokładnie ma się uspokoić? – zastanawiała się dziewczynka. Na czym polegał ten spokój? Kiedy to coś będzie znowu spokojne? Chciała się dowiedzieć, co znaczyły te „obozy” i „obławy”, o których mówił, ale bała się przyznać, że podsłuchiwała rodziców, i to kilkakrotnie. Nie odważyła się więc zadać pytania.

– Otwierać! Policja!

Czy policjanci znaleźli tatę w piwnicy? Czy dlatego tu przyszli? Czy zabiorą go do miejsca, o którym wspominał szeptem o północy, do jednego z odległych obozów poza miastem?

Dziewczynka pospiesznie, ale bezszelestnie podreptała do pokoju matki na końcu korytarza. Matka obudziła się od razu, gdy tylko poczuła dłoń na swoim ramieniu.

– To policja, *maman* – szepnęła dziewczynka. – Dobijają się do drzwi.

Matka wysunęła nogi spod kołdry i odgarnęła włosy z czoła. Dziewczynce wydawało się, że wygląda na zmęczoną, sprawia wrażenie starej, jakby miała znacznie więcej niż trzydzieści lat.

– Czy przyszli zabrać tatę? – Głos dziewczynki był rozpaczliwy, trzymała matkę za ręce. – Czy przyszli po niego?

Matka nie odpowiedziała. Na korytarzu znowu słychać było głośne rozkazy. Pospiesznie włożyła szlafrok, po czym wzięła dziewczynkę za rękę i podeszły do drzwi. Miała gorącą i spoconą dłoń. Jak u dziecka, pomyślała dziewczynka.

– Słucham – powiedziała nieśmiało matka, nie odsuwając zasuwki.

Męski głos wykrzyknął jej imię i nazwisko.

– Tak, *monsieur*, to ja – odpowiedziała. Wyraźnie słychać było jej akcent.

– Otwierać. Natychmiast. Policja.

Matka ukryła twarz w dłoniach. Dziewczynka zauważyła, że jest strasznie blada. Matka znieruchomiała. Wydawała się wyczerpana, niezdolna do jakiegokolwiek ruchu. Dziewczynka nigdy nie widziała takiego strachu na twarzy matki. Była zrozpaczona, czuła suchość w ustach.

Mężczyźni znowu zaczęli dobijać się do drzwi. Matka otworzyła je niezdarnymi, drżącymi rękami. Dziewczynka wzdygnęła się, spodziewając się widoku szarozielonych mundurów.

Za drzwiami stało dwóch mężczyzn. Jeden z nich był policjantem, ubranym w ciemnoniebieską, długą do kolan pelerynę i cylindryczną czapkę z daszkiem. Drugi miał na sobie beżowy płaszcz przeciwdeszczowy. W ręce trzymał listę. Raz jeszcze odczytał imię i nazwisko matki. Następnie ojca. Mówił płynną francuszczyzną. Zatem jesteśmy bezpieczni, pomyślała dziewczynka. Jeśli są Francuzami, a nie Niemcami, nic nam nie grozi. Jeśli są Francuzami, nie zrobią nam nic złego.

Matka przyciągnęła dziewczynkę do siebie. Przez szlafrok czuć było, jak wali jej serce. Dziewczynka chciała odepchnąć matkę, chciała, aby jej matka wyprostowała się i spojrzała mężczyznom prosto w oczy, aby przestała się kulić ze strachu, aby powstrzymała serce, które łomotało jak u przestraszonego zwierzęcia. Chciała, aby jej matka była odważna.

– Mojego męża... nie ma w domu – wyjąkała matka. – Nie wiem, gdzie jest. Nie wiem.

Mężczyzna w beżowym płaszczu odepchnął je i wszedł do mieszkania.

– Niech się *madame* pośpieszy. Macie dziesięć minut. Spakujcie parę ubrań. Tyle, aby wystarczyło na kilka dni.

Matka wciąż stała w miejscu. Patrzyła szeroko otwartymi oczami na policjanta, stojącego na klatce, tyłem do drzwi. Wydawał się obojętny, znudzony. Położyła rękę na jego

granatowym rękawie.

– Proszę pana, proszę... – zaczęła.

Policjant obrócił się, strącając jej dłoń. Obrzucił matkę i dziewczynkę zimnym, pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

– Słyszała pani? Idzie pani z nami. Córka też. Proszę wykonywać polecenia!

Paryż, maj 2002

Bertrand spóźniał się jak zwykle. Nie chciałam mieć mu tego za złe, ale bez powodzenia. Znużona Zoë opierała się o ścianę. Przypominała swojego ojca do tego stopnia, że czasem aż mnie to bawiło. Jednak dzisiaj nie było mi do śmiechu. Podniosłam wzrok, by spojrzeć na stary, wysoki budynek. Mieszkanie Mamé – stare mieszkanie babki Bertranda. Mieliśmy tu zamieszkać, opuścić hałaśliwy boulevard du Montparnasse z nieustannym wyciem karetek pędzących do jednego z trzech pobliskich szpitali, kafejki i restauracje i zamieszkać w tej cichej, wąskiej uliczce na prawym brzegu Sekwany.

Nie znałam zbyt dobrze dzielnicy Marais, choć podziwiałam jej nieco sypiące się piękno. Czy byłam zadowolona z przeprowadzki? Trudno powiedzieć. Bertrand tak naprawdę nie spytał mnie o zdanie. W zasadzie prawie w ogóle nie omówiliśmy zasadności tej decyzji. Bertrand, tak jak miał to w zwyczaju, po prostu zabrał się do roboty. Beze mnie.

– Jest – powiedziała Zoë. – Spóźnił się tylko pół godziny.

Patrzyłyśmy, jak Bertrand idzie ulicą swoim charakterystycznym zmysłowym krokiem. Smukły, ciemnowłosy, seksowny, archetypiczny Francuz. Jak zwykle rozmawiał przez telefon. Za nim widać było brodate, zaróżowione oblicze jego współnika, Antoine'a. Mieli biuro na rue de l'Arcade,

tuż za kościołem Madeleine. Bertrand pracował w pracowni architektonicznej jeszcze przed naszym ślubem, a własną założył z Antoine'em pięć lat temu.

Bertrand pomachał do nas, po czym wskazał na telefon, marszcząc brwi i kręcąc głową.

– Jakby nie mógł powiedzieć, że musi kończyć – powiedziała zgryźliwie Zoë. – Jasne.

Zoë miała zaledwie jedenaście lat, ale chwilami wydawało się, że jest już nastolatką. Po pierwsze, ze względu na wzrost – górowała nad wszystkimi koleżankami. Stopami też je przerastam, dodawała ponuro. A po drugie, z powodu pewnego przedwczesnego blasku, który nieraz powodował, że zapierało mi dech w piersiach. Było coś dojrzałego w jej poważnym spojrzeniu piwnych oczu i w jej sposobie podnoszenia brody, gdy była zamyślona. Widziałam to od zawsze, nawet we wczesnym dzieciństwie. Spokojna, dojrzała, czasem zbyt dojrzała jak na swój wiek.

Antoine przyszedł przywitać się z nami, podczas gdy Bertrand rozmawiał dalej, dostatecznie głośno, by słyszała go cała ulica, wymachiwał przy tym rękami, krzywiąc się i obracając od czasu do czasu, by nabrać pewności, że wsłuchujemy się w każde jego słowo.

– Ma problem z kolegą po fachu – wyjaśnił Antoine, uśmiechając się dyskretnie.

– Konkurencja? – spytała Zoë.

– Tak, konkurencja – odparł Antoine.

Zoë westchnęła.

– To znaczy, że możemy tu stać przez cały dzień.

Wpadłam na pewien pomysł.

– Antoine, czy masz może klucz do mieszkania *madame Tézac*?

– Owszem, mam, Julio – rzekł z uśmiechem. Antoine zawsze odpowiadał po angielsku na moje wypowiedzi po francusku.

Pewnie robił to, bo chciał być miły, jednak efekt był odwrotny do zamierzonego. Wydawało mi się, że mój francuski wciąż nie jest na odpowiednim poziomie, mimo że mieszkalam tu od tak dawna.

Antoine zamasyżuje wyjął klucz. Postanowiliśmy wejść we trójkę na górę. Zoë wystukała swoimi zwinnymi palcami kod w domofonie. Przez chłodne, zasypane liśćmi podwórko poszliśmy do windy.

– Nie cierpię tej windy – powiedziała Zoë. – Papa powinien coś z nią zrobić.

– Kochanie – zwróciłam uwagę – on remontuje mieszkanie twojej prababci, a nie cały budynek.

– I tak powinien coś z nią zrobić.

Gdy czekaliśmy na windę, moja komórka zabrzmiała motywem z *Gwiezdnych wojen*. Spojrzałam na numer mrugający na wyświetlaczu. Dzwonił Joshua, mój szef.

– Co tam? – odebrałam.

Joshua mówił zwężle i dorzecznie. Jak zwykle.

– Jesteś potrzebna przed trzecią. Kończymy numer lipcowy. Bez odbioru.

– *Gee whiz*, o kurczę – powiedziałam bezceremonialnie. Usłyszałam śmiech po drugiej stronie linii. Joshua zawsze lubił, gdy mówiłam *gee whiz*. Może przypominało mu to młodzieńcze lata. Antoine wydawał się rozbawiony moimi staromodnymi amerykańizmami. Wyobraziłam go sobie, jak na osobności próbuje je powtarzać z tym swoim francuskim akcentem.

Winda była z gatunku tych, które można znaleźć tylko w Paryżu: miała malutką kabinę zamykaną przesuwaną ręcznie żelazną kratą i podwójnymi drewnianymi drzwiami wahadłowymi, które za każdym razem zamykały się na tobie. Ściśnięta pomiędzy Zoë a Antoine'em – muszę przyznać, że nieco przesadzał ze swoją wodą kolońską marki Vétiver – zerknęłam na swoją twarz w lustrze, gdy winda jechała w górę. Sprawiałam

wrażenie równie zmęczonej i zużytej jak ta skrzypiąca winda. Gdzie się podziała młodzięcza piękność z Bostonu w stanie Massachusetts? Kobieta, która spoglądała na mnie z lustra, była w tym okropnym wieku przed pięćdziesiątką, tej ziemi niczyjej wiotczającej skóry, nadchodzących zmarszczek i skradającej się menopauzy.

– Mnie też się ta winda nie podoba – powiedziałam ponuro.

Zoë uśmiechnęła się szeroko i uszczypnęła mnie w policzek.

– Mamo, nawet Gwyneth Paltrow wyglądałaby w tym lustrze jak strach na wróble.

Musiałam się uśmiechnąć. Cała Zoë.

Matka zaczęła szlochać, najpierw cicho, a potem coraz głośniej. Dziewczynka patrzyła na nią oszołomiona. Nigdy przez dziesięć lat życia nie widziała płaczącej matki. Patrzyła z konsternacją na jej łzy spływające po bladej twarzy. Chciała jej powiedzieć, żeby przestała; nie mogła znieść wstydu, jaki przynosił widok matki pociągającej nosem przed tymi nieznanymi mężczyznami. Ale oni nie zwracali uwagi na te łzy. Kazali jej się pospieszyć. Nie było czasu do stracenia.

W sypialni chłopczyk nadal spał.

– Ale dokąd chcecie nas zabrać? – spytała błagalnym tonem matka. – Moja córka jest Francuzką. Urodziła się w Paryżu. Dlaczego ją też chcecie wziąć? Dokąd chcecie nas zabrać?

Mężczyźni milczeli. Byli niemymi, złowieszczyimi postaciami górującymi nad głową dziewczynki. W oczach matki widać było strach. Poszła do sypialni i opadła na łóżko. Po kilku sekundach wyprostowała się i zwróciła do dziewczynki szeptem, prawie nie poruszając ustami:

– Obudź brata. Oboje macie się ubrać. Weź trochę ubrań dla siebie i dla niego. Szybko! Szybko, już!

Brat zaniemówił ze strachu, gdy wyjrzał zza drzwi i zobaczył dwóch mężczyzn. Patrzył, jak jego roztrzęsiona, łkająca matka próbuje się pakować. Zebrał całą siłę swojego czteroletniego

ciała i odmawiał wykonania jakiegokolwiek ruchu. Dziewczynka próbowała go przekonać, ale nie słuchał. Stał nieruchomo z rączkami skrzyżowanymi na piersi.

Dziewczynka zdjęła nocną koszulę, pospiesznie wcisnęła się w bawełnianą bluzkę i spódnice. Wsunęła stopy do butów. Brat patrzył, jak się ubiera. Oboje słyszeli dochodzący z pokoju matki płacz.

– Idę do naszej tajnej kryjówki – szepnął.

– Nie! Idziesz z nami, musisz pójść z nami!

Złapała go, jednak wyślizgnął jej się z rąk i na czworakach przedostał do długiej, głębokiej szafki ukrytej w ścianie ich sypialni. Często się w niej bawili. Chowali się tam, zamykali na klucz i czuli, jakby to był ich własny mały dom. *Maman* i *papa* znali tę kryjówkę, ale zawsze udawali, że nic nie wiedzą. Wykrzykiwali imiona dzieci i mówili wesoło: „Och, gdzie mogły się podziać te dzieci? Jakie to dziwne, przed chwilą jeszcze tu były!”. A ona wraz z bratem chichotała radośnie w ukryciu.

Mieli tam latarkę, parę poduszek, kilka zabawek i książek, a nawet butelkę, którą *maman* codziennie napełniała wodą. Braciszek nie umiał jeszcze czytać, więc dziewczynka czytała mu na głos *Małego, dobrego diabełka*. Uwielbiał opowieść o sierocie Karolku i okropnej *madame Mac'miche*, a szczególnie to, jak Karolek zemścił się za wszystkie jej okrucieństwa. Dziewczynka czytała mu to opowiadanie wiele razy.

Widziała, jak twarzyczka brata patrzy na nią z mroku. Przytulony do swojego ulubionego misia chłopiec już się nie bał. Może rzeczywiście byłby tam bezpieczny. W końcu miał wodę i latarkę. Poza tym mógłby przeglądać obrazki w książce hrabiny de Ségur – najbardziej lubił ten, który przedstawiał wspaniałą zemstę Karolka. Może powinna go tam na razie zostawić. Mężczyźni na pewno go tu nie znajdą. A kiedy później w ciągu dnia pozwolą im już wrócić do domu, wypuści go. Poza tym *papa*, kiedy w końcu wyjdzie z piwnicy, będzie wiedział, gdzie

szukać chłopca.

– Boisz się? – spytała cicho. W tej samej chwili mężczyźni zawołali ponagłająco.

– Nie – odpowiedział. – Nie boję się. Zamknij mnie tu. Nie znajdą mnie.

Zamykając drzwiczki, zasłoniła drobną białą twarz, po czym obróciła klucz w zamku i wsunęła go do kieszeni. Zamek był schowany za mechanizmem obrotowym udającym włącznik światła. Dostrzeżenie w boazerii konturów szafki było niemożliwe. Tak, tam będzie bezpieczny. Była tego pewna.

Dziewczynka wyszeptała jego imię i przyłożyła dłoń do drewna.

– Wrócę po ciebie później. Obiecuję.

Weszliśmy do mieszkania. Wielokrotne pstrykanie wyłącznikami światła nie odniosło żadnego skutku. Antoine otworzył kilka okiennic. Do środka wlało się światło słoneczne. Pokoje były puste i zakurzone. Pozbawiony mebli duży pokój sprawiał wrażenie ogromnego. Złociste promienie kierowały się ukosem przez wysokie, brudne tafle szyb na ciemnobrązowy parkiet.

Rozejrzałam się po pustych półkach i ciemniejszych prostokątach na ścianach, zaznaczających miejsca, w których jeszcze niedawno wisiały piękne obrazy. Przyjrzałam się marmurowemu kominkowi, w którym widziałam płomień rozpalanego zimą ognia. Pamiętałam też Mamé wyciągającą delikatne, blade ręce w stronę ciepła.

Podeszłam do jednego z okien i wyjrzałam na ciche zielone podwórko. Byłam zadowolona, że Mamé nie widziała swojego mieszkania opróżnionego. Ten widok zasmuciłby ją, tak jak mnie.

– Wciąż pachnie Mamé – powiedziała Zoë – i perfumami Shalimar.

– I tą straszną Minette – dodałam, marszcząc nos. Minette była ostatnim zwierzęciem Mamé, rozpuszczonym kotem syjamskim.

Antoine spojrział na mnie, zdziwiony.

– Kotką – wyjaśniłam. Tym razem użyłam angielskiego. Oczywiście wiedziałam, że „kotka” po francusku to *la chatte*, lecz słowo to mogło też oznaczać żeńskie narządy płciowe. A ostatnią rzeczą, jaką chciałam usłyszeć, był głośny śmiech Antoine’a wywołany jakąś dwuznacznością.

Antoine oceniał lokal okiem profesjonalisty.

– Instalacja elektryczna jest przestarzała – powiedział, wskazując na staroświeckie bezpieczniki z białej porcelany. – Zresztą grzewcza też.

Łuszcząca się farba na okazałych rozmiarów kaloryferach była przykryta grubą warstwą kurzu.

– Poczekaj, aż zobaczysz kuchnię i łazienki – odpowiedziałam.

– Wanna stoi na pazurach – wtrąciła się Zoë. – Będzie mi ich brakowało.

Antoine badał ściany, obstukując je ręką.

– Zapewne chcecie z Bertrandem przerobić je całkowicie? – spytał, patrząc na mnie.

Wzruszyłam ramionami.

– Tak naprawdę nie wiem, co Bertrand chce zrobić. Przeprowadzenie się tutaj było jego pomysłem. Mnie to aż tak nie kręciło. Skłaniałam się raczej ku czemuś bardziej... praktycznemu. Czemuś nowemu.

Antoine uśmiechnął się szeroko.

– Ależ gdy je wykończymy, będzie nowiuteńkie.

– Być może. Ale dla mnie będzie to zawsze mieszkanie Mamé.

Wciąż można było wyczuć jej obecność, mimo że przeprowadziła się do domu spokojnej starości dziewięć miesięcy temu. Babka mojego męża mieszkała tu od lat. Pamiętałam nasze pierwsze spotkanie szesnaście lat temu. Byłam pod wrażeniem obrazów starych mistrzów, marmurowego kominka, na którym stały rodzinne zdjęcia oprawione w ozdobne ramy

ze srebra, prostych, a jednak eleganckich mebli, rozlicznych książek stojących w szeregach na półkach biblioteki i wielkiego fortepianu przykrytego miękkim czerwonym aksamitem. To tutaj po raz pierwszy ją zobaczyłam, po raz pierwszy podałam jej rękę, wciąż czując się niezręcznie z tym, co moja siostra Charla nazwała „tym ciągłym francuskim obcałowrywaniem”.

Paryżance nie podawało się dłoni, nawet jeżeli widziało się ją po raz pierwszy w życiu. Całowało się ją, raz w każdy policzek.

Wtedy jeszcze tego nie wiedziałam.

Mężczyzna w beżowym płaszczu raz jeszcze przyjrzał się liście.

– Zaraz – powiedział – brakuje jednego dziecka. Chłopca.
Odczytał jego imię.

Dziewczynce serce stanęło w gardle. Matka spojrzała na nią. Dziewczynka przyłożyła palec do ust na tyle szybko, by nie dostrzegli tego mężczyźni.

– Gdzie jest chłopiec? – Głos mężczyzny nie znosił sprzeciwu.

Dziewczynka zrobiła krok naprzód, załamując ręce.

– Mojego brata tu nie ma, *monsieur* – powiedziała swoją doskonałą francuszczyzną, językiem osoby tutejszej. – Wyjechał na początku miesiąca z paroma kolegami. Na wieś.

Mężczyzna w płaszczu przyjrzał się jej uważnie, po czym skinął pospiesznie na policjanta.

– Przeszukaj mieszkanie, byle szybko. Być może ojciec też się tu ukrywa.

Policjant zaczął przeszukiwać mieszkanie, pokój po pokoju, niezdarnie otwierając drzwi, zaglądając pod łóżka i do szaf.

Wsluchując się w odgłosy dochodzące z kolejnych pokoi, mężczyzna w płaszczu chodził w kółko. W chwili gdy był odwrócony plecami, dziewczynka szybkim ruchem pokazała

matce klucz. Papa przyjdzie i go zabierze, papa przyjdzie po niego, powiedziała bezgłośnie. Matka kiwnęła głową. Zdawało się, że mówi: Dobrze, rozumiem, gdzie jest chłopiec. Jednak po chwili zmarszczyła brwi, obróciła dłoń, jakby przekręcała klucz – gdzie zostawić klucz papie, skąd będzie wiedział, gdzie go szukać? Mężczyzna obrócił się gwałtownie i zaczął im się przyglądać. Matka znieruchomiała. Dziewczynka drżała ze strachu.

Patrzył na nie uważnie przez jakiś czas, po czym nagle zamknął okno.

– Proszę pana – powiedziała matka – tu jest tak gorąco.

Mężczyzna się uśmiechnął. Dziewczynka nigdy nie widziała okropniejszego uśmiechu.

– Musimy je zamykać, *madame* – odpowiedział. – Dziś rano pewna pani wyrzuciła swoje dziecko przez okno, po czym sama wyskoczyła. Nie chcielibyśmy, aby to się powtórzyło.

Matka nic nie odpowiedziała, oniemiała ze strachu. Dziewczynka patrzyła złowrogo na mężczyznę. Nienawidziła go, nienawidziła z całej duszy. Nienawidziła jego zaczerwienionej twarzy, jego wilgotnych ust, jego chłodnego, martwego spojrzenia, gdy tak stał z rozstawionymi nogami, w filcowym kapeluszu zsuniętym na oczy i z rękami założonymi za plecami.

Nienawidziła go z całej siły, tak jak jeszcze nie zdarzyło jej się w całym życiu, nienawidziła go bardziej niż tego okropnego chłopca ze szkoły, tego Daniela, który szeptał jej na przerwach okropne rzeczy, straszne rzeczy o akcencie jej matki, o akcencie jej ojca.

Słuchała, jak policjant niezdarnie kontynuował przeszukiwanie mieszkania. Nie znajdzie chłopca. Szafka była zbyt dobrze schowana. Chłopiec będzie bezpieczny. Nigdy go nie znajdą. Nigdy.

Policjant wrócił. Wzruszył ramionami i pokręcił głową.

– Nikogo tu nie ma – stwierdził.

Mężczyzna w płaszczu popchnął matkę w stronę drzwi. Kazał oddać sobie klucze. Matka przekazała je w milczeniu. Zeszli ze schodów w szeregu, spowolnieni torbami i pakunkami niesionymi przez matkę. Dziewczynka myślała pospiesznie: jak może przekazać klucz ojcu? Gdzie powinna go zostawić? U dozorczyńi? Czy o tej porze będzie już na nogach?

O dziwo, dozorczyńi już wstała i czekała za swoimi drzwiami. Dziewczynka dostrzegła dziwny wyraz jej twarzy, jakby scena, której się przyglądała, napawała ją satysfakcją. Skąd taka mina? – pomyślała dziewczynka. Dlaczego nawet nie spojrzy na matkę ani na nią, a tylko na mężczyzn, jakby udawała, że nie widzi ich obu, jakby nigdy ich nie znała. A przecież matka zawsze była dla tej pani miła, od czasu do czasu opiekowała się jej dzieckiem, malutką Suzanne, która często płakała z powodu bólu brzucha, a matka była taka cierpliwa, śpiewała Suzanne w swoim rodzimym języku, bez końca, a dziecko to uwielbiało i zasypiało spokojnie.

– Czy wie pani, gdzie jest ojciec i syn? – spytał policjant, przekazując dozorczyńi klucze do mieszkania.

Kobieta wzruszyła ramionami. Wciąż nie patrzyła na dziewczynkę ani na jej matkę. Schowała klucze do kieszeni pospiesznym, łapczywym ruchem, który nie spodobał się dziewczynce.

– Nie – powiedziała policjantowi. – Męża nie widywałam ostatnio zbyt często. Może się ukrywa z chłopcem. Mogą panowie sprawdzić w piwnicach albo w pokojach gospodarczych na strychu. Mogę panom pokazać.

Niemowlę w małym mieszkaniu zaczęło kwilić. Dozorczyńi obejrzała się przez ramię.

– Nie mamy czasu – powiedział mężczyzna w płaszczu. – Jest jeszcze dużo do zrobienia. Wrócimy później, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Dozorczyńi poszła po płaczące dziecko i przycisnęła je do piersi. Powiedziała, że wie o innych rodzinach w sąsiednim

budynku. Wymieniła ich nazwiska z niesmakiem, jakby wymawiała przekleństwo, pomyślała dziewczynka, jedno z tych brzydkich słów, których nigdy nie powinno się używać.

Bertrand w końcu schował telefon do kieszeni i skierował uwagę na mnie. Uśmiechnął się w swój czarujący sposób. Dlaczego mam tak nieskończenie atrakcyjnego męża? – pomyślałam po raz n-ty. Dawno, dawno temu, kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, na nartach w Courchevel, we francuskich Alpach, miał jeszcze chłopięcą urodę. Teraz, w wieku czterdziestu siedmiu lat, był masywniejszy i silniejszy. Epatował męskością, „francuskością” i klasą. Był jak dobre wino, dojrzewające z wdziękiem i mocą, podczas gdy ja sama czułam się, jakbym utraciła swoją młodość gdzieś pomiędzy rzeką Charles a Sekwaną, przy czym raczej nie rozkwitałam w wieku średnim. Jeżeli srebrne włosy i zmarszczki jakby podkreślały urodę Bertranda, byłam pewna, że mojej nie służą.

– No i? – powiedział, chwytając mnie niedbale zaborczą ręką za tyłek, nie zastanawiając się nad spojrzeniami współnika czy naszej córki. – Czyż nie jest wspaniałe?

– Wspaniałe – powtórzyła Zoë. – Antoine właśnie powiedział, że wszystko trzeba zrobić od nowa. Co znaczy, że pewnie nie wprowadzimy się tu przez kolejny rok.

Bertrand się roześmiał. Był to wyjątkowo zaraźliwy śmiech, coś pomiędzy hieną a saksofonem. Na tym polegał problem z moim mężem. Uwielbiał korzystać do granic możliwości ze

swojego odurzającego uroku. Zastanawiałam się, po kim go miał. Po rodzicach: Colette i Edouardzie? Szalenie bystry, wytworni, ocytani. Ale nie czarujący. Siostrach, Cécile i Laure? Dobrze wychowane, błyskotliwe, o nienagannych manierach. Ale śmiały się tylko wtedy, gdy uważały, że wypada. Zatem zapewne miał go po Mamé – buntowniczej, niepokornej Mamé.

– Antoine jest strasznym pesymistą – rzekł ze śmiechem Bertrand. – Będziemy tu mieszkać już wkrótce. Jest dużo do zrobienia, ale zatrudnię do tego najlepsze ekipy.

Poszliśmy za nim długim, wyłożonym skrzypiącą klepką korytarzem, by obejrzeć sypialnie, których okna wychodziły na ulicę.

– Tej ściany trzeba się pozbyć – oznajmił Bertrand, wskazując palcem, a Antoine przytaknął. – Kuchnia musi być bliżej. W innym przypadku nasza droga panna Jarmond uzna ją za *impractical*.

Powiedział „niepraktyczną” po angielsku, mrugając do mnie frywolnie i pokazując palcami małe cudzysłowy w powietrzu.

– Całkiem spore to mieszkanie – zwrócił uwagę Antoine. – Zdecydowanie robi wrażenie.

– Teraz tak, lecz dawniej było dużo mniejsze, znacznie skromniejsze – odpowiedział Bertrand. – Moim dziadkom nie żyło się łatwo. Dziadek zarabiał niewiele. Dopiero w latach sześćdziesiątych zaczęło mu się lepiej wiesć, wtedy kupił mieszkanie po drugiej stronie korytarza i je przyłączył.

– Czyli kiedy *grand-père*, dziadek, był dzieckiem, mieszkał w tej małej części? – spytała Zoë.

– Zgadza się – powiedział Bertrand. – W tej oto części. To był pokój rodziców, a on spał tutaj. Miał znacznie mniej miejsca.

Antoine pukał w ścianę, zamyślony.

– Tak, wiem, o czym myślisz – rzekł Bertrand i uśmiechnął się. – Chcesz połączyć te dwa pokoje, prawda?

– Prawda! – przyznał Antoine.

– To nie jest zły pomysł, choć trzeba go jeszcze przemyśleć. Jest tu kłopotliwy kawałek ściany, później ci pokażę. Gruba boazeria, rury i tym podobne w środku. Nie jest to takie proste, jak się wydaje.

Spojrzałam na zegarek – wpół do trzeciej.

– Muszę iść – rzuciłam. – Mam spotkanie z Joshuą.

– A co robimy z Zoë? – spytał Bertrand.

Zoë westchnęła i pokręciła głową.

– Wiesz, tato, mogę z powrotem do Montparnasse pojechać autobusem.

– A co z lekcjami?

Kolejne westchnienie.

– Tato! Jest środa. W środy po południu nie ma zajęć, pamiętasz?

Bertrand podrapał się w głowę.

– Za moich czasów...

– Nie było lekcji w czwartki, mieliśmy wolne czwartki – wyrecytowała Zoë.

– Absurdalne francuskie szkolnictwo – stwierdziłam i westchnęłam. – A do tego jeszcze zajęcia w sobotnie poranki!

Antoine zgodził się ze mną. Jego syn chodził do prywatnej szkoły, gdzie nie było zajęć w sobotnie przedpołudnia. Ale Bertrand – jak jego rodzice – był zagorzałym zwolennikiem francuskiego systemu edukacji. Chciałam umieścić Zoë w dwujęzycznej szkole, których było w Paryżu kilka, lecz klan Tézaków nigdy by na to nie przystał. Zoë była Francuzką, urodzoną we Francji. Miała pójść do francuskiej szkoły. Obecnie uczęszczała do liceum Montaigne’a, nieopodal Ogrodu Luksemburskiego. Tézacowie wciąż zapominali, że Zoë ma amerykańską matkę. Na szczęście Zoë mówiła doskonale po angielsku. Zawsze mówiłam do niej w tym języku, a ponadto dostatecznie często jeździła do Bostonu, w odwiedziny do moich rodziców. Większość wakacji spędzała na Long Island, z moją siostrą Charlą i jej rodziną.

Bertrand obrócił się w moją stronę. W jego oczach widać było błysk, który wzbudzał we mnie czujność, mógł bowiem oznaczać, że za chwilę będzie bardzo śmieszny lub bardzo okrutny, jeśli nie jedno i drugie. Antoine najwyraźniej również znał ten wyraz twarzy, sądząc po tym, jak intensywnie zaczął się przypatrywać swoim skórzanym mokasynom z frędzlami.

– No tak, oczywiście wiemy, co panna Jarmond myśli o naszych szkołach, naszych szpitalach, naszych niekończących się strajkach, naszych długich wakacjach, naszych wodociągach, naszej pocście, naszej telewizji, naszych politykach, naszym psim gównie na chodnikach – powiedział Bertrand, pokazując idealne zęby w uśmiechu skierowanym w moją stronę. – Słyszeliśmy o już tak wiele, wiele razy, prawda? Lubię być w Ameryce, wszystko jest takie czyste w Ameryce, wszyscy zbierają psie gówna w Ameryce!

– Tato, przestań, zachowujesz się ordynarnie! – powiedziała Zoë, biorąc mnie za rękę.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).